

## Światło arki

Dobrze, że nowy papież – to Amerykanin, a nie Europejczyk. Może zabrzmiałoby to jak paradoks, ale obawiałem się właśnie wyboru któregoś z europejskich księży Kościoła. W dzisiejszych realiach najbardziej rozpoznawalni biskupi europejscy to raczej ideolodzy społecznego i kulturowego postępu, którym na propagowaniu nowoczesności zależy nie mniej, a czasem nawet dużo więcej, niżli na apostołstwie wiary.

Skądinąd nie powinno to nadto dziwić, skoro mała Europa jest dziś na dobrą sprawę areligijna, a kraje tradycyjnie katolickie – Hiszpania, Irlandia, a teraz także Polska, dają przykład tego, jak łatwo i w jak krótkim czasie daje się przeprowadzić proces głębokiego zeświecczenia narodów. Co prawda tu i ówdzie (np. we Francji) zaczęły się odradzać żywe wspólnoty katolickie, ale to nie jest wystarczający powód, aby Kościół Powszechny koncentrował znów swoją uwagę na niepierwszorzędnych dla przyszłości chrześcijaństwa procesach wewnętrznego rozkładu Europy. Żywe źródła katolicyzmu biją dziś raczej na odległych od Europy kontynentach – we wschodniej Azji, czy w czarnej Afryce. A na przykład taki kardynał Ambongo ma w swej diecezji kinszaskiej coś koło siedmiu milionów wiernych, zaś brutalne prześladowania sprawiają, że wraz ze wzrostem liczby chrześcijan, cały czas wzrasta mu także liczba męczenników. I tak właśnie współcześnie wygląda prawdziwy świat żywej wiary w Chrystusa.

Jako Amerykanin urodzony w Chicago, z rodziców o łacińskich (francusko-włosko-hispańskich) korzeniach, a wykształcony w Pensylwanii, na sławnym augustiańskim uniwersytecie Villanova, oraz na rzymskim Angelicum – Leon XIV jest oczywiście kulturowo człowiekiem Zachodu. Jest nim pewnie bardziej niżli jego poprzednik, który nie krył nigdy zanadto ani swego poczucia obcości wobec Europy, ani typowo latynoskiej niechęci do USA. I choć przed tym konklawe po głowie chodziła mi ciągle myśl o korzyściach, jakie płynęłyby z wyboru któregoś z wybitnych, a zarazem gorliwie strzegących depozytu wiary biskupów afrykańskich, to trudno zaprzeczyć faktowi, że wybór papieża z Zachodu, ale z tej jego „nowej”, a nie „starej” odnogi, też ma swoje istotne korzyści dla Kościoła. To Stany Zjednoczone są bowiem dziś tym miejscem na mapie zachodniego chrześcijaństwa, gdzie toczy się fundamentalny spór o przyszłość Kościoła, zwłaszcza gdy idzie o dwie newralgiczne i konfliktowe dziedziny: liturgię i teologię moralną. I jeśli gdzieś grozi Kościołowi schizma, to bynajmniej nie w Niemczech, gdzie mamy co prawda awanturniczych biskupów, ale wiara jest letnia i słabnąca, tylko tam, gdzie spór o kształt nauczania moralnego i tradycję liturgiczną jest dla milionowych rzesz katolików naprawdę kwestią życia i śmierci – czyli w Ameryce.

## **Przeczytaj inne felietony Jana Rokity „Z podbieszczadzkiej wsi”**

Papież Amerykanin jest w tej sytuacji darem Ducha Świętego dla tamtejszego Kościoła, pogrążonego w wojnie domowej o sprawy najważniejsze, a jego wybór obudzi zapewne narodową dumę z posiadania pierwszego „Amerykanina w Rzymie”. Warto zdawać sobie sprawę, że globalne rozstrzygnięcie i przewyciężenie wielkich sporów, toczących się dziś w Kościele, musi zacząć się właśnie od Kościoła

amerykańskiego. I jeśli ktoś ma szansę na rozstrzygnięcie tej wojny bez amerykańskiej schizmy, to Leon XIV wydaje się do tej roli człowiekiem wymarzoną. Amerykanin z krwi i kości, kibic Chicago Bears, lecz zarazem ktoś nie uwikłany w żadną ze stron tamtejszej kościelnej wojny domowej, być może dlatego, że jako misjonarz, a potem biskup, pełnił swą misję nie w USA, ale w latynoskim Peru. I stamtąd został powołany przez Franciszka na jeden z najbardziej odpowiedzialnych urzędów kościelnych: szefostwo Dykasterii ds. Biskupów. Jest to więc papież jednocześnie *par excellence* „zachodni”, a zarazem „uniwersalny”. Rozradowana pani prezydent Peru ogłosiła nawet swoim rodakom z dumą, iż papieżem został właśnie... Peruwiańczyk, gdyż jako biskup diecezji Chiclayo, położonej nad brzegiem Pacyfiku, ksiądz Robert Prevost zgodził się przyjąć od rządu peruwiańskiego obywatelstwo tego kraju.

Dobrze, że nowy papież – to wykształcony na katolickich uniwersytetach prawnik i matematyk. Co jak co, ale chłód i precyzja umysłu przyda się wyjątkowo w czasie, gdy po papieżu wzbudzającym ustawicznie niepewność i niepokój, trzeba znaleźć racjonalne formuły kompromisu, akceptowane zarówno przez większość katolickich tradycjonalistów, jak i modernistów. Kościół Powszechny jak świeżego powietrza potrzebuje jasnych i klarownych formuł, zwłaszcza w rozedrganej dziś liturgice i teologii moralnej. Lecz zarazem Robert Prevost jest kapłanem zawdzięczającym swą zdumiewająco szybką karierę w całości papieżowi Franciszkowi, który musiał żywić doń daleko idące zaufanie i wiązać z nim spore nadzieje. W przeciwnym bowiem razie w takim tempie nie robiłby z owego misjonarza i wykładowcy najpierw biskupa, a potem (*deus ex machina*, raptem dwa lata temu) prefekta kluczowej watykańskiej dykasterii i kardynała, a co najbardziej zdumiewające – pewnego październikowego dnia 2023 roku – jednoczesnego pełnoprawnego członka wszystkich dalszych ośmiu

istotnych dykasterii kurii rzymskiej. I to też dobrze, bo jakieś nagłe rozrachunki z dziedzictwem Franciszka, wyczekiwane na kościelnej „prawicy”, wprowadziłyby tylko w Kościele dodatkowy chaos.

Kościół nie potrzebuje zresztą tego, aby uroczyście zaprzeczyć nowoczesności na całej linii, ale przeciwnie – klarownie wyznaczyć granice nowoczesności, zaprzęgając ją zarazem do służby Bożej, tak jak niegdyś genialnie potrafili to uczynić ojcowie Soboru Trydenckiego. A skoro teraz człowiek ścisłego umysłu i precyzji słownej (co można było zauważyć już w pierwszym czwartkowym wystąpieniu Leona XIV z balkonu Św. Piotra) zastępuje dość chaotycznego gadułę, to wolno żywić nadzieję, że miast permanentnej „synodalności”, nie wiedzieć ku czemu mającej prowadzić, nastanie w końcu w Kościele czas autorytatywnych, porządkujących decyzji. Nadzieja ta jest tym silniejsza, że nowy papież, poprzez wybór imienia, odwołał się czytelnie do dziedzictwa swego wybitnego poprzednika sprzed ponad wieku – Leona XIII. Również jak on prawnika, a zarazem pierwszego takiego papieża, który wywodząc się jeszcze z XIX-wiecznej epoki *ancien regime*’ów, potrafił z nowoczesności uczynić instrument działania papieżstwa i na przeszło pół wieku precyzyjnie określić, gdzie ma przebiegać granica między katolicyzmem i nowoczesnością.

## **„Fenomenologia słomianej pałuby” – Jan Rokita w TPCT 467. o „Weselu”**

No i w końcu bardzo dobrze, że nowy papież – to augustianin, „syn świętego Augustyna”, jak sam Leon XIV określił swoją formację duchową, zaraz po czwartkowym wyborze z balkonu Św. Piotra. Po czym w augustiańskim stylu rozwinął ową myśl, mówiąc o drodze, jaką mamy odbyć wspólnie „podążając do ojczyzny przygotowanej nam przez Boga”. I kto wie, czy w dzisiejszych czasach augustiańska

formacja nie jest najlepsza dla przywódcy Kościoła Powszechnego. Augustyn tworzył swą przejmującą wizję pielgrzymki społeczności chrześcijańskiej do jej wiecznej ojczyzny w czasie, gdy na początku V wieku, po niedawnym zgonie cesarza Teodozjusza, nad całym Zachodem zapadał właśnie głęboki mrok. Owa wizja, zwana potem także „politycznym augustynizmem”, naznaczona jest silnym zwątpieniem w świecką „Romanitas” i jej roszczenie do szczęśliwego urzędnienia świata poprzez politykę i państwo, nawet jeśli miałyby ono postać uniwersalistycznego zachodniego imperium. Wybitny znawca myśli Augustyna i polityki jego czasów Charles Cochrane napisze nawet wprost, że polityczny sens augustynizmu to: „generalny atak przypuszczony na podstawy filozoficzne Romanitas, innymi słowy, na roszczenia wergiliuszowego państwa ludzkiego” [„Chrześcijaństwo i kultura antyczna”, s.389].

Co ciekawe, o ile inauguracyjne pozdrowienie z balkonu Św. Piotra czy niedzielna odśpiewana (jakżeż to było piękne!) „Regina Coeli” – zostały na sto sposobów zrelacjonowane i omówione w mediach, to pierwsza poważna homilia papieska, wygłoszona do kardynałów dzień po elekcji w Kaplicy Sykstyńskiej, napotkała w tej mierze pewne trudności. I nie dziwota, bo to poruszający w swej prostocie, ale w gruncie rzeczy mroczny, augustiański tekst. Leon XIV z mocą piętnuje świat, w którym „wiera chrześcijańska jest uważana za coś absurdalnego, przeznaczonego dla osób słabych i mało inteligentnych i przedkłada się nad nią inne zabezpieczenia, takie jak technologia, pieniądze, sukces, władza, przyjemności” . „Są środowiska – mówi dalej papież – w których nie jest łatwo świadczyć i głosić Ewangelię, a człowiek wierzący jest wyśmiewany, prześladowany, pogardzany lub co najwyżej tolerowany i traktowany z litością”. I jakby tej krytyki świata było jeszcze mało, papież dodaje, iż w gruncie rzeczy „wielu chrześcijan żyje w faktycznym ateizmie”, gdyż ufają postępowi świeckiego świata,

wyobrażając sobie Chrystusa, jako jakiegoś „charyzmatycznego lidera”. W tej mrocznej diagnozie nowoczesności trudno nie usłyszeć echa gromiących rzymski świat homilii Augustyna, głoszonych w Hipponie.

Augustianin Leon XIV zdaje się żywić mniej złudzeń wobec nowoczesności, niżli jego poprzednik – jezuita Franciszek, jak również mniej wizjonerskiego optymizmu od Jana Pawła II, którego pontyfikat przypadł na czasy wielkich nadziei wiązanych z upadkiem tyranii i budzącą się na całym świecie wolnością. Leonowi XIV bliższy jest chyba ciemny ogląd świata Benedykta XVI, który choć nie był zakonnikiem Reguły św. Augustyna, to przecież biskupa Hippony zwykł też nazywać mianem swego „mistrza”. Ale augustianin – to przecież ktoś, kto żywiąc głęboki pesymizm co do stanu i przyszłości świata polityki i kultury, czerpie zarazem wielką radość i nadzieję z tego, gdy: „Kościół staje się coraz bardziej miastem położonym na górze, arką zbawienia płynącą po falach historii, latarnią morską, która oświecła noc świata”. Te nawiązujące do Apokalipsy św. Jana, a zarazem tchnące nadzieją słowa – to literalny fragment pierwszej papieskiej homilii, wygłoszonej w Kaplicy Sykstyńskiej. Zdaje się, że podobnie jak Augustyn, nie wierząc już w popsuty świat, Leon XIV zdaje się żywić przemożną wiarę w to, iż w tym popsutym świecie światło arki może rozbłysnąć o wiele mocniej. I w przyczynieniu się do rozniecenia tego światła upatruje misji swego pontyfikatu.

*Jan Rokita*

*fot. Alex Kuhn / ArtService / Forum*